

Ryszard Kantor

MOJE POWROTY DO PRZESZŁOŚCI

KILKA REFLEKSJI NA KANWIE KSIĄŻECZKI DRA JANUSZA KAMOCKIEGO

Janusz Kamocki, *Derenk. Polska wieś na Węgrzech*,
Szczawnica, Ośrodek Kultury i Turystyki Górskiej
PTTK w Pieninach, nakład własny autora, 2012, 36 s.

Kilka dni temu dostałem pocztową przesyłkę, kopertę, w której znajdowała się niewielka książeczka, w istocie – wedle ścisłych bibliotecznym norm – zaledwie broszurka. Jej autorem jest wybitny etnograf, senior naszego etnograficznego plemienia, doktor Janusz Kamocki. Broszurka opowiada o Derenku, polskiej wsi na Węgrzech, o historii zamieszkującej tę wieś ludności, która w początkach XVIII wieku przybyła tam z pogranicza Podhala i Spisza. W latach II wojny światowej ich potomkowie Polaków zostali rozsiedleni, od tego czasu zamieszkują kilka wsi, z których najbardziej znana jest osada Istvanmajor położona niedaleko Miskolca.

Przesłany mi egzemplarz pracy dr J. Kamocki opatrzył miłą i znaczącą dedykacją: „Drogiemu Ryśkowi – kroczący jego śladami” i tu podpis autora. I tak oto otwiera się skrzynia ze wspomnieniami. Niedługo minie – aż trudno uwierzyć – czterdzieści lat, jak dwoje krakowskich etnografów, dr Ewa Krasieńska i piszący te słowa, wybrali się na rekonesans do osady Istvanmajor, aby sprawdzić, ile jest prawdy w opowieściach koleżanki ze studiów w UJ, Węgierki Erzi Bodi, ówczesnej pracownicy uniwersytetu w Debreczynie. Wedle jej relacji Istvanmajor mieli zamieszkiwać „Lendziele”, tj. Polacy, mówiący między sobą po polsku, posiadający niejasne przekonanie o swoim polskim pochodzeniu.

Jakże często ludzkie wybory są wynikiem przypadku. Tak było i tym razem. Był rok 1976, miałem już napisany doktorat (tematyka orawska, a jakże!), kończyłem opracowanie mojej części tzw. monografii Zakopanego (ukazała się, owszem, ale dopiero w 1991 roku), jednym słowem, byłem wolnym człowiekiem szukającym ciekawych badawczych tematów. Może owi Polacy węgierscy, jeśli potwierdzi się relacja Erzi, staną się takim tematem, może nawet będzie to temat na pracę habilitacyjną.

Wycieczka na Węgry, na koszt uczelni, była niezobowiązującą atrakcją, miłym intermedium w akademickim roku. Okazało się nieoczekiwane, że ta

recenzje
noty
bibliograficzne

wycieczka odmieniła nasze życie. Polska zbiorowość przykuła naszą uwagę, jej dzieje i kultura pochłonęły nas na kilka lat całkowicie. Tu anegdotka – obrazek z owego pierwszego pobytu w Istvanmajor. Stoimy przy domu Bagojki (nazwisko Bagoy, po mężu Węgrze, oznacza sowę, nikt jej jednak inaczej nie nazywał), rozmowa toczy się przez płot, doskonale się rozumiemy do chwili, gdy nasza późniejsza wielokrotna gospodyni nagle pyta: „A nocnik macie?”. Konsternacja, bo jako żywo tego skądinąd pożytecznego naczynia nie mieliśmy zwyczaju używać. Dopiero po chwili uświadomiliśmy sobie, że kłopotliwe pytanie dotyczy noclegu! Nie zostaliśmy wtedy na „nocnik”, ale później było noclegów bardzo wiele, obliczałem, że spędziliśmy w Istvanmajor i w innych „polskich” wsiach na Węgrzech co najmniej sześć pełnych miesięcy. Tak się potoczyło, kolejne wyjazdy, intensywne badania terenowe, obserwacje uczestniczące, dziesiątki wywiadów. Jest co wspominać, może kiedyś opisze to szczegółowo.

Bagojka, wspinała kobieta, mądra i wszystkowiedząca o mieszkańcach wsi, stała się jedną z naszych najważniejszych informaterek. Byli i inni, tu nie sposób ich wymienić, stali się nie tylko naszymi przewodnikami po dziejach i kulturze polskiej grupy, stali się prawdziwymi przyjaciółmi. Bez ich współpracy i nadzwyczajnej życzliwości nie osiągnęlibyśmy żadnych wyników. A było ich sporo, kilkadziesiąt artykułów, trzy książki, w tym jedna ukazała się w języku węgierskim, liczne wystąpienia na naukowych konferencjach, zainteresowanie naszymi badaniami w Polsce i na Węgrzech, duże uznanie w środowiskach naukowych. Uznanie, choć trzeba tu zaznaczyć, że nie wszyscy aprobowali nasze ustalenia, Słowacy – na szczęście nie wszyscy – zarzucali nam, iż polonizujemy grupę, która jest w istocie grupą słowacką. Oczywiście, był to zarzut zupełnie bezpodstawny, wyraz niekompetencji naukowej i po prostu złej woli.

Wszystko ma jednak swój koniec. W pewnym momencie, to moja wada: nieustanne poszukiwanie nowych interesujących tematów, zainteresowały mnie inne problemy, rozszerzyłem badania, coraz mniej miejsca pozostawało dla problematyki węgierskiej. Patrząc na swoją bibliografię i widząc, że ostatnie nasze wspólne, i moje własne, opracowania na temat kultury Polaków na Węgrzech ukazały się w 1988 roku. Byłem potem jeszcze wiele razy w Istvanmajor, także w Derenku i w innych wsiach, które zamieszkują potomkowie polskiej XVIII-wiecznej fali migracji na Węgry. Były to pobyty inspirujące, często zabarwione wielkim sentymentem i wielką także goryczą, bo przecież odchodzili nasi przyjaciele, dziś widzę, że już wszyscy przekroczyli granice naszego wymiaru. Oby dobry Bóg wynagrodził ich za dobro, które nam wyświadczyli. Dla badań naukowych nic konkretnego z tych wyjazdów nie wynikało. Koncentrowałem się wtedy na badaniu polonijnych grup w Szwecji, Turcji, w Stanach Zjednoczonych.

Właściwie nie wiem, jak reagować na jakże słuszne słowa J. Kamockiego, który napisał w swojej pracy (s. 7): „Należy żałować, że Krasińska i Kantor,

po opublikowaniu swych prac, niejako otwierających temat polskiej mniejszości na Węgrzech, nie prowadzili dalszych badań nad tym tematem". Rzeczywiście, nie prowadzili, ale – szczęśliwie – znaleźli się następcy, wśród nich Janusz Kamocki. Badania nasze kontynuowali także Węgrzy, wśród nich Węgrzy polskiego pochodzenia – to uznaję za niezwykle osiągnięcie i chcę wierzyć, że w jakimś stopniu my (to jest dr Ewa Krasińska i ja) do tego się przyczyniliśmy. Nie mogę nie wspomnieć wybitnej badaczki Polonii węgierskiej, profesor Urszuli Kaczmarek. Niestety, odeszła od nas przedwcześnie, miałem zaszczyt opiniować jej wniosek na profesurę. Nigdy chyba nie byłam tak pewny swojej entuzjastycznej opinii.

Mam świadomość, iż ten tekst nie jest klasyczną recenzją, na jaką zasługuje z pewnością ciekawa praca Janusza Kamockiego. Jest raczej dowodem na to, iż bywają prace, które wzbudzają wspomnienia i – to również – może być dla nich rekomendacją, dodatkowym walorem. Dziękuję, Drogi Przyjacielu Januszu, nie za to, że wspomniałeś moje zasługi badawcze, to ważne, ale raczej tylko dla mnie. Dziękuję Ci za to, że wciąż piszesz o ludziach Derenku, o wspaniałych ludziach, którzy nie ustawali w poszukiwaniu i utwierdzaniu swojej narodowej tożsamości, którzy pielęgowali język i polską kulturę w najtrudniejszych czasach.

Książeczkę, jakże dla mnie cenną, polecam wszystkim czytelnikom. Znajdą w niej wiele ciekawych informacji, które – mam nadzieję – wzbudzą w nich refleksje, dadzą wiele do myślenia w czasach, gdy przywiązanie do kultury i języka przodków bywa wyszydzane.

Ryszard Kantor

GORZKI CZAR WSPOMNIENI

Pro memoria. Profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego spoczywający na Cmentarzu Rakowickim 1803–2013, red. Jan Wiktor Tkaczyński, Kraków, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2014, 263 s., il.

W 650. rocznicę założenia Almae Matris Cracoviensis ukazała się niezwykle cenna publikacja świadcząca o pamięci obecnych pokoleń o poprzednikach i ich zasługach. Publikacja ta jest cenna nie tylko ze względu na walory dokumentacyjne, ale też – a dla wielu czytelników przede wszystkim – z powodu zawartości emocjonalnej skłaniającej do przemyśleń i wspomnień. *Pro memoria. Profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego spoczywający na Cmentarzu Rakowickim 1803–2013*, pięknie wydany – staraniem Komitetu

recenzje
noty
bibliograficzne

ds. Opieki nad Grobami Profesorów UJ – tom, z przedmową rektora UJ prof. Wojciecha Nowaka i z wprowadzeniem prof. Jana Wiktora Tkaczyńskiego, przewodniczącego wspomnianego Komitetu, również i we mnie budzi wiele refleksji, ożywia pamięć, przywołuje wspomnienia.

O merytorycznej wartości pracy z pewnością wypowiedzą się historycy-biografiści, być może znajdą uchybienia w prezentowanych w tomie biogramach, których jest ponad 600. Docenią jednak bez wątpienia trud zespołu kierowanego przez prof. Tkaczyńskiego, bowiem praca nie była łatwa. Już na wstępie okazało się, że nie ma pełnych list profesorów pracujących w UJ, w konsekwencji nie wiadomo – mimo starań – czy wszyscy zostali uwzględnieni w zaprezentowanym opracowaniu. Wnosić należy, iż ukazą się kolejne wydania, poprawione i uzupełnione. Tom, warto podkreślić, składa się ze wspomnianych biogramów, fotografii grobów oraz dokładnego opisu miejsca, gdzie się on znajduje. W sumie to godny uwagi przewodnik po Cmentarzu Rakowickim, oczywiście dla kogoś, kto idzie śladami ludzi związanych pracą z najstarszą uczelnią polską.

Kartkowałem tom z narastającym wzruszeniem, w końcu jestem związany już prawie pół wieku z Uniwersytetem Jagiellońskim, tu odbyłem studia, tu uzyskałem wszystkie stopnie naukowe, tu wreszcie przed dwudziestu laty osiągnąłem tytuł profesora. Niemal całe moje życie naukowe związałem z tą uczelnią, w niej poznałem profesorów-mistrzów, w niej zawarłem znajomości i przyjaźnie. Wielu moich nauczycieli, kolegów i przyjaciół spoczywa na Cmentarzu Rakowickim, ich nazwiska i biogramy znalazły się na kartach omawianej pracy. Jakże więc mogę traktować lekturę tego dzieła w sposób chłodny?

Jako student etnografii i archeologii miałem okazję poznać wielu znanych i wybitnych uczonych, słuchać ich wykładów, a także zdawać u nich egzaminy, a kiedy się wypełniły dni ich życia uczestniczyłem w pogrzebach. Wymienię tylko kilku: Mieczysław Gładysz, Andrzej Waligórski, Rudolf Jamka. Na cmentarzu Rakowickim spoczywa promotorka mojego doktoratu prof. Jadwiga Klimaszewska, jej brat, rektor UJ, Mieczysław Klimaszewski i jego syn Bolesław Klimaszewski, mój długoletni kolega, przyjaciel z Instytutu Badań Polonijnych UJ. Tu leżą moi współpracownicy, ludzie zaci i serdeczni: prof. Anna Zambrzycka-Steczowska i Leszek Dziegiel. Lista jest długa: są na niej moi rówieśnicy i profesorowie nieco ode mnie starsi: Mirosław Frančić, Andrzej Kapiszewski, Andrzej Paluch, Włodzimierz Rydzewski i wielu innych. Doskonale pamiętam Józefa Wolskiego, Antoniego Podrazę, Henryka Batowskiego, Władysława Kwaśniewicza, Romana Stopę, niezapomnianego Kazimierza Godłowskiego, a także Jerzego Szablowskiego i Karola Estreichera, jun.

Przed moimi oczyma widzę twarze ludzi, słyszę ich słowa, przypominam sobie anegdoty o nich, wracam do czasów młodości i lat dojrzałości naukowej. Budynki uniwersyteckie, sale wykładowe, korytarze pojawiają się i nikną

w tym półśnie półjawie wywołanej lekturą wraz z ludźmi, którzy w nich pracowali, wykładali, przechadzali się. Oto moje życie uniwersyteckie, a także życie tych, którzy już odeszli, a o których trzeba pamiętać. Sukcesy i porażki, nadzieje i rozczarowania.

Jestem wdzięczny autorom dzieła *Pro memoria...*, bo poruszyli moje serce, ożywili wspomnienia, bo przypomnieli, co trzeba cenić najwyżej: pamięć drogi życia, drogi własnej i drogi innych, z którymi zetknął nas los, a którzy już odeszli. Ot, gorzki czar wspomnień.

Zdzisław Noga

NIEUDANA EDYCJA PRZYWILEJÓW LOKACYJNYCH WSI ZIEMI GORLICKIEJ

Andrzej Ćmiech, Agnieszka Franczyk-Cegła,
*Lokacje i nadania króla Kazimierza Wielkiego
na Ziemi Gorlickiej*, Nowy Sącz, Wydawnictwo
i Drukarnia Nova Sandec, 2013, 96 s.

W ubiegłym roku ukazała się pięknie i w zbożnym celu wydana praca, poświęcona lokacjom wsi przez króla Kazimierza Wielkiego na terenie dzisiejszego powiatu gorlickiego. Ma ona w założeniu Autorów służyć popularyzacji przeszłości 29 wówczas lokowanych wsi. Ozdobne wydanie, bogato ilustrowane fotografiami dokumentów sugeruje, że mamy do czynienia z wydawnictwem solidnym, wzbudzającym zaufanie. Tymczasem wydawnictwo to zawiera niestety mnóstwo błędów merytorycznych, przede wszystkim w tłumaczeniu dokumentów na język polski. Owe tłumaczenia miały przybliżyć treść dokumentów lokacyjnych niefachowcom, młodzieży, miłośnikom dziejów lokalnych, etc. Zamiast tego wprowadzają ich często w błąd. Z przykrością muszę skonstatować, że wydawcy nie mają wystarczających kompetencji do pracy, której się podjęli. Oto kilka przykładów: W intytulacji dokumentu króla Kazimierza Wielkiego z 1342 roku dotyczącego przeniesienia kilku wsi na prawo średzkie, Tłumaczka przekłada *haeres terrarum ... lancicie*, jako „dziedzic ziemi łańcuckiej” (s. 17 i tak samo w innym dokumencie – s. 40–41). Każdy, kto chociaż przez krótki czas zetknął się z warsztatem historyka, wie, że chodzi oczywiście o ziemię łączycką. Niestety im dalej wczytujemy się w tłumaczenie, tym więcej odkrywamy tego typu błędów. W kolejnym dokumencie (s. 22–23) *mansus* to według Wydawców włóka. Tego terminu oczywiście nie objaśniają, chociaż pojawia się w każdym z opublikowanych przez nich dokumentów. Tymczasem idzie o łąn. Tłumaczenie „*octo scoto*” jako „8 skotów” oznacza, że wydawcy niewiele wiedzą o ówczesnym systemie monetarnym. Innych

recenzje
noty
bibliograficzne

błędnych tłumaczeń, zupełnie nie uwzględniających specyfiki łaciny średniowiecznej przytaczać już nie będę.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę, że publikacja dokumentów wiąże się z koniecznością objaśnienia występujących w nich osób, czego Wydawcy nie uczynili, mimo że większość tych dokumentów została już przecież opublikowana, a osoby w nich występujące objaśnione. Wystarczyło do tych edycji sięgnąć i objaśnić występujące głównie w testacji (czyli zestawieniu świadków) dokumentów osoby. Nie jest to zadanie trudne, chociaż od czasu edycji tych dokumentów przybyło znacznie wydawnictw ułatwiających to zadanie. Mowa tu oczywiście o przygotowywanych po redakcją Antoniego Gąsiorowskiego wykazach urzędników ziemskich, a także o innych zestawieniach. Autorzy tej publikacji korzystają oczywiście z odczytanych już dokumentów, opublikowanych w kodeksach dyplomatycznych (podają te informacje na s. 94, z błędami zresztą), ale tekst dokumentu i jego tłumaczenie ilustrują fotografią oryginału lub jego kopii w księgach ziemskich lub w *Metryce Koronnej*, co może sugerować Czytelnikowi, że sami z tych rękopisów je przeczytali. Nie było chyba powodu odczytywać po raz kolejny dokumentów już wydanych i to lepiej pod względem merytorycznym, niż to czynią Wydawcy recenzowanej publikacji.

Nie jestem przeciwnikiem twórczości pasjonatów historii, nie sądzę, że pisarstwo historyczne powinno być wyłącznie domeną zawodowych historyków, ale pozostaję tylko głęboko przekonany, że powinno się czasem skorzystać z rady i pomocy profesjonalistów. Tych błędów można było uniknąć i wydawnictwo byłoby pożyteczne dla lokalnej społeczności. A w tej sytuacji korzystanie z tej pracy przez młodzież zwłaszcza uważam za wielce problematyczne. Aż żal wydanych na druk pieniędzy, mam nadzieję, że nie publicznych... I polityka, który w dobrej wierze, oczarowany szatą graficzną wydawnictwa, napisał pełen zachwytu wstęp *Do Czytelnika*, nie mając zapewne wiedzy o wartości merytorycznej tej książki.

Julian Dybiec

SĄDECCZYNA W HISTORIOGRAFII, LITERATURZE I MEDIACH

Sądecczyzna w historiografii, literaturze i mediach,
pod red. Bolesława Farena, Kraków,
Wydawnictwo Edukacyjne, 2013, 345 s.

Książka ta jest zbiorem 25 referatów, wygłoszonych na sesji naukowej pod tym tytułem, która odbyła się w Nowym Sączu. Charakteryzuje ją wielka różnorodność, zarówno tematyczna w ramach wspomnianych trzech dziedzin, jak i w zakresie sposobów i konwencji ujmowania zagadnień.

Tę wielobarwność tomu podkreśla również jego ogromna rozpiętość czasowa. Książkę otwiera referat Feliksa Kiryka o średniowiecznej Sądecczyźnie w dziełach Długosza, a zamyka szkic Adama Ruty o problematyce dwudziestowiecznej poświęconej statkom i okrętom z nazwami zaczerpniętymi z tego regionu. Książka jest w pewnym stopniu rozwinięciem tego, co w roku 1949 napisał Edward Smajdor (*Sądecczyzna w literaturze pięknej*) i Janina Kwiek-Osiowska w roku 2010 (*Ziemio moja sądecka*). Zawiera niemal kompletny wizerunek Sądecczyzny ujętej bardzo szeroko geograficznie w piśmiennictwie i kulturze polskiej, także tej wizualnej. Dzieło jest podsumowaniem dotychczasowej wiedzy o zagadnieniach w niej opisywanych. Ponieważ niektóre z nich jak np. Jan Sygański, Szczęsny Morawski mają swą bardzo obfitą literaturę przedmiotu, inne jak m.in. *Pieniny i ziemia sądecka* Jana Wiktora nie mają tylu opracowań, znalazło to swój wyraz w zakresie informacji i konwencji ujęcia tematyki.

Tematyka historiograficzna zobrazowana jest na przykładzie twórczości Jan Długosza, kronikarstwa Jana i Stanisława Owsieńskich, proboszczów jazowskich, Jana Sygańskiego, częściowo Szczęsnego Morawskiego i relacji z wystawy *Historycy i miłośnicy Sądecczyzny* napisanej przez Małgorzatę Mirek. Brak w tej części charakterystyki dorobku Henryka Barycza poświęconego Sądecczyźnie przypisać należy moim nadmiernym wówczas obowiązkom, które przeszkodziły w napisaniu referatu. Autorzy artykułów o tematyce historiograficznej ukazali rolę Jana Długosza, który informacje o Sączu wprowadził do swego dzieła *Dziejów Polski książ dwanaście*, a szczegółowo sportretował miejscowość Sądecczyzny na kartach *Liber beneficiorum dioecesis Cracoviensis – Księgi uposażeń diecezji krakowskiej*. Szczególnie czytelników „Almanachu Łąckiego” może zainteresować wiadomość Długosza powtórzona przez Feliksa Kiryka o komesie Wydźdze, właścicielu Łącka i złocie. Zaś mieszkańcy Jazowska z artykułu Stanisława Grodzkiego dowiedzą się o zasłużonych kronikarzach Owsieńskich, proboszczach miejscowego kościoła i losach swej miejscowości. Artykuł Franciszka Leśniaka dokumentuje ogrom pracy jezuita Jana Sygańskiego dla odtworzenia przeszłości Nowego Sącza i ukazania klasztoru klarysek w Starym Sączu. Czytelników zaskoczy postać Szczęsnego Morawskiego, ojca historiografii sądeckiej, jako autora barwnych, ale krytycznych charakterystyk chłopów sądeckich.

Nie brak w książce reportaży o Sądecczyźnie. Dziewiętnastowieczne opisy wraz z widokami ukazał Andrzej Mączyński. Agata Tobiasz w barwnych obrazach skoncentrowała się nad Sądecczyzną w literaturze podróżniczej XIX wieku. Do tego typu zaliczyć też należy *Zofii Nałkowskiej widzenie Nowego Sącza* przedstawione przez Barbarę Guzik. Ciekawe i nietypowe jest nadanie przez Jana Ziębę nowego gatunku literackiego książce Jana Wiktora: *Pieniny Ziemia Sądecka*.

Większość artykułów poświęcona jest Sądecczyźnie w literaturze pięknej. Fantastyczno-patetyczny utwór poetycki wielkiego historyka Józefa

Szujskiego *Pan Roźnowa* urzekający czytelników przedstawiony został przez Kazimierza Gajdę w kategoriach teorii poetyki. Biografię, prace literackie i językoznawcze sądeckiego nauczyciela Eugeniusza Pawłowskiego, który znad Kamienicy wyszedł na krakowski Parnas, ukazał Leszek Bednarczuk w swym artykule, cennym z powodu informacji i cytowania niedrukowanych pamiętników uczonego.

Bolesław Faron obszernie przedstawił związki Marii Kownackiej, warszawskiej autorki literatury dziecięcej, z sądeckimi miejscowościami nad Popradem i Dunajcem: Rytrem, Roztoką, Piwniczną, Niemcową, Łąckiem i Zabrzeżą. Jego praca ukazuje sposób widzenia Sądeczyny: ludzi, przyrody przez Kownacką. Na kartach artykułu odżywają nauczyciele Bucykowie z Zabrzeży i sukcesy ich teatrzyku szkolnego, Stanisław Wilkowicz, kierownik łąckiej szkoły, popularyzator uszlachetnionego sadownictwa, święto kwitnącej jabłoni. Czytelnik może zobaczyć jak poprzez literaturę i publicystykę rodził się mit nowoczesnego sadownictwa i jednego z jego twórców. W książce widzimy piękny zmetaforyzowany świat Sądeczyny malowany przez Jerzego Harasymowicza (Barbara Głogowska-Gryziecka).

Z nastrojowym liryzmem oddana została Sądeczyna (artykuł Barbary Bałuc) w utworach nieformalnej grupy poetyckiej „Tylicz”, do której należał Józef Baran, Marian Czepiec, Jerzy Gizella, Wiesław Kolarz, Andrzej Torbus, Andrzej Warzecha, Adam Ziemianin, a patronował jej Harasymowicz. W książce znalazł się poeta Adam Ziemianin i jego relacje z grupą Tylicz ukazane przez Stanisława Burkota. Arkadyjski świat beskidzkich poetek piwniczańskich Krystyny Dulak-Kulejowej, Wandy Łomnickiej-Dulak i Barbary Paluchowej skomentowany został przez Wojciecha Kudybę. Dom, łąka, góry, lasy, ziemia, lipce, sierpień, głos dzwonów, Chrystus w cierniowej koronie wprowadzają czytelnika w zmitologizowaną, sentymentalną, biblijną krainę cudowności. Poetyckość innej miejscowości dawnej Sądeczyny – Limanowej przywołana została przez Wandę Matras-Mastalerz kreślącą obraz życia literackiego tego miasta, zatem twórców mieszkających w niej jak i tych z różnych części Polski w niej zakochanych. Nie zabrakło w książce analiz twórczości poetów ludowych i regionalnych. Maria Jazowska-Gumulka zaakcentowała w swym artykule krajobraz i kulturę w twórczości wybranych poetów Stanisława Klimka z Zabrzeży, Stanisława Wąchały z Łącka i Wandy Łomnickiej-Dulak z Piwnicznej. Niemal mistyczne piękno Sądeczyny z patetycznym wierszem *Ziemio moja sądecka* Władysławy Lubasiowej przypomniała Ewelina Faron, pokazując ewolucję obrazu Sącza i otoczenia w twórczości tej poetki spowodowaną zagładą Żydów w czasie wojny i przemianami cywilizacyjnymi.

Odmienne spojrzenie na miasta i miasteczka Sądeczyny w literaturze polskiej po roku 1989 przedstawiła Magdalena Roszczynialska. Zajęła się poetyką miasta przyjmując socjologizujący punkt widzenia zwracający uwagę m.in. na postawy twórców określane jako antycywilizacyjne i antyno-

woczesne. W recenzowanym tomie dostrzeżono również tak oryginalne i niecodzienne zjawisko jakim jest Uniwersytet Trzeciego Wieku (artykuł Marii Harcuły). Oryginalne i niecodzienne nie z samego powodu istnienia, bowiem instytucje te działają obecnie niemal we wszystkich miastach wyższych uczelni, ale z powodu stworzenia przez Uniwersytet spójnego środowiska społecznego, które cieszy się swymi twórcami poezji a także wspomnieniami z uroczym tomem *Moja Sądecczyzna* (red. K. Godek, Nowy Sącz 2009). Poezje uczestników UTW przytaczane przez autorkę artykułu dowodzą talentu i smaku artystycznego. *Wspomnienia*, które w całości przeczytałem zaraz po ich ukazaniu się, dowodzą bystrogo zmysłu obserwacyjnego i stanowią interesujący dokument zmian dokonujących się w tym regionie. Dział literatury pięknej zamyka syntetyczny i krytyczny przegląd Sądecczyzny w książce Edwarda Smajdora i Janiny Kwiek-Osiowskiej, poświęconym piśmiennictwu o tym regionie. Artykuł napisany przez Sławomira Sikorę porządkuje wiele zagadnień i jest dobrym skróconym przewodnikiem w poszukiwaniu sandecjanów literackich. Autor jako pomysł karkołomny przytacza wprowadzenie przez Smajdora do literatury ludowej słynnego z anegdot ks. Machaczka. Muszę dodać ze swoich wspomnień z dzieciństwa i studiów epizody związane z tą postacią. Mój stryj (brat ojca) mieszkający w Łącku – Stanisław Dybiec, malarz ścienny i pozłotnik, aktor miejscowych teatrzyków i działacz Towarzystwa Szkoły Ludowej, prawie do końca życia wraz z synem Władysławem członek chóru śpiewającego w kościele, bardzo często opowiadał różne facecje Machaczka, m.in. o kazaniu z 30 srebrnikami Judasza. Po studiach mój mistrz prof. Henryk Barycz wielokrotnie powtarzał jego anegdoty. Także po studiach w jakichś utworach historyka literatury polskiej Juliana Krzyżanowskiego (może o folklorze, albo o facecjach) znalazłem wiadomości o Machaczku.

Publikację zamykają artykuły muzyczne i „medialne”. Takimi są motywy muzyczne, pieśni z sądeckim motywem, np. o *Dunajcu*, *Spójrz prawdzie w oczy*, *Czereśnie, wiśnie...* śpiewane przez muzyczne zespoły młodzieżowe (artykuł Zbigniewa Zaporowskiego). Media wizualne w postaci kart pocztowych z widokami Nowego Sącza omówiła Agnieszka Ogonowska a wspomniany już Adam Ruta odświeżył regiony kultury symbolicznej w postaci statków z nazwami z Sądecczyzny.

Książka została starannie wydana, nie zauważyłem w niej błędów drukarskich, z wyjątkiem dwóch. Zamek czorsztyński przemieniono w zamek Czartoryskich i z Mogielicy na okładce uczyniono Mogielnicę. Ten błąd często powtarzany jest w różnych wydawnictwach. Bardzo interesująca tematyka została omówiona językiem przystępnym dla czytelnika, niespecjalisty. Tylko w niektórych artykułach w nadmiernej mierze wdarł się specjalistyczny żargon naukowy, zrozumiały dla „branżowców”. Myślę, że w dobie popularności konkursów, książka ta znajdzie się w domach mieszkańców Sądecczyzny. Przypuszczam też, że Sądecczyzna będzie tematem kolejnego zbioru, który dopełniłby literaturę, a omówił różne dziedziny nauki, sztukę i muzykę.

Ryszard Kantor

CZY „EUROREGIONY” SĄ POTRZEBNE?

Lukasz Lewkowicz, *Euroregiony na pograniczu polsko-słowackim. Geneza i funkcjonowanie*,
Lublin, Wydawnictwo Uniwersytetu
im. Marii Curie-Skłodowskiej, 2013, 285 s.

W lutym 2014 roku, w Krakowie, w Centralnej Bibliotece Górskiej PTTK, odbyła się promocja książki Łukasza Lewkowicza zatytułowanej *Euroregiony na pograniczu polsko-słowackim. Geneza i funkcjonowanie*. Praca ta ukazała się w 2013 roku, opublikowało ją Wydawnictwo Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Autor podczas spotkania ze stosunkowo nielicznym gronem zainteresowanych, streścił swoje dzieło w sposób przystępny, a nawet atrakcyjny – co już samo w sobie było sukcesem, gdyż prace naukowe niezbyt do tego pretendują – odbyła się krótka i raczej niemrawa dyskusja i promocja dobiegła końca. Nie zabrałem głosu, ponieważ nie zwykłem wypowiadać się na temat prac, których nie czytałem, a które znam jedynie z omówienia. Teraz, po wnikliwej lekturze dzieła Ł. Lewkowicza, zabieram głos, gdyż problematyka „euroregionów” (niebawem wyjaśnię, dlaczego posłużyłem się cudzysłowem) żywo mnie interesuje, a „euroregiony” na pograniczu polsko-słowackim w szczególności. Nie ukrywam, że jestem eurosceptykiem i nie zachwycam się większością pomysłów UE i sposobem ich realizacji. Nic dziwnego zatem, że pomysł „euroregionów” traktuję z dużym dystansem. Czy praca Ł. Lewkowicza zmieniła moje stanowisko? Odpowiedź znajdzie się pod koniec tej recenzji, która właściwie jest wyborem refleksji teoretyka i praktyka regionalizmu, na marginesie cennej, niosącej wiele doniosłych informacji i w sumie bynajmniej nieentuzjastycznie nastawionej do przedmiotu badań publikacji.

Najpierw wypada krótko scharakteryzować dzieło doktora Lewkowicza. Jest to – zgodnie z tytułem i podtytułem – solidna relacja o powstaniu i funkcjonowaniu trzech „euroregionów” na pograniczu polsko-słowackim: „Euroregionu” Karpaty (1993 rok), „Euroregionu” Tatry (1994 rok) oraz „Euroregionu” Beskidy (2000 rok). Owe „euroregiony” powołane zostały w celu usprawnienia (inicjowania) współpracy transgranicznej i są rodzajem stowarzyszeń przygranicznych samorządów zgodnie z ideą określoną w Europejskiej Konwencji Ramowej o Współpracy Transgranicznej między Wspólnotami i Władzami Terytorialnymi z 1980 roku. Jest to tzw. Konwencja Madrycka. Zgodnie z nią, a właściwie z wciąż zmieniającymi się przepisami wykonawczymi, tj. Europejską Kartą Regionów Granicznych i Transgranicznych, współpraca ta – jak pisze autor omawianego dzieła

pomaga w łagodzeniu niekorzystnych skutków istnienia granic i położenia terenów przygranicznych na obrzeżach państw, a także służy poprawie warunków życiowych lokalnej społeczności. [...] współpraca transgraniczna powinna obejmować wszystkie dziedziny życia kulturalnego, społecznego i gospodarczego. W sensie normatywnym powinna ona urzeczywistniać zasady prawa międzynarodowego, a także wspierać pokój, wolność, bezpieczeństwo, prawa człowieka oraz ochronę mniejszości etnicznych i narodowych na pograniczach (s. 21).

W sumie bardzo chwalebne zamiary, nie sposób bowiem zaprzeczyć, że zbiorowości zamieszkujące obszary przygraniczne, często jednorodne pod względem kultury i języka a rozdzielone sztucznymi granicami, nie mają zazwyczaj perspektyw rozwojowych i doznają rozmaitych form dyskryminacji. Ponadto, nie ulega wątpliwości, że wszelkie zbiorowości żyjące na pograniczach winny ze sobą współpracować dla wspólnego dobra, nawet jeśli władze państw z jakichś względów, najczęściej z powodu tzw. zaszłości politycznych, wobec owej współpracy zachowują pewien dystans. Tak powinno być i tak często bywało – wola obywateli winna stanowić o polityce państwa – ale niekoniecznie w naszej części Europy. Retoryka UE w tych kwestiach jest nasycona wzniosłymi, choć dość ogólnikowymi hasłami. Wielu obserwatorów unijnej praktyki uznaje ją za formę ograniczania kompetencji państw, za odbieranie części ich suwerenności. Budzi to, oczywiście, duże zastrzeżenia, szczególnie w państwach, które z trudem wybiły się na niepodległość w ostatnich dekadach. Już tu zauważymy, że używanie terminu „euroregiony” może budzić pewien niepokój.

Obszary Współpracy Transgranicznej (terminu tego używam zamiast określenia „euroregion”, dalej jako OWT), która obejmuje sferę gospodarki, kultury, turystyki, ekologii itp., w zakresie i stopniu odpowiadającym potrzebom zbiorowości przygranicznych, nie mogą kolidować – w moim przekonaniu – z narodowymi i państwowymi aspiracjami tych zbiorowości. Oznacza to nieobecność nacisków wewnętrznych i zwłaszcza zewnętrznych. Unia nie powinna np. ingerować w kwestie mniejszości etnicznych i narodowych, należą one bowiem do kompetencji państw i na ogół rozwiązywane są, czy być powinny, na zasadzie kontaktów dwustronnych. Ingerowanie UE np. w kwestie mniejszości romskiej żyjącej na Słowacji, budzi nie tylko reakcje państwa słowackiego, ale także powoduje narastanie niechęci społeczeństwa tego kraju do wszelkich, nawet sensownych, działań unijnych. W zasadzie, na obecnym etapie europejskiej współpracy transgranicznej, unijna pomoc finansowa i idąca za nią ingerencja „ideowa”, winna ograniczać się do problemów niekonfliktowych, gospodarki, ekologii, turystyki, współpracy kulturalnej.

W ogóle współpraca transgraniczna wymaga od wszystkich stron w niej uczestniczących wielkiej kultury politycznej, ale także uprzedniego

rozwiązania wątpliwości co do zakresu prawnych kompetencji trzech z nich: samorządów, władz państwowych i instytucji unijnych. Wydaje mi się, że kompetencje nie do końca są określone, najsłabszym ogniwem jest to, które powinno być najsilniejsze, autentyczny samorząd. OWT z powodów wymienionych i innych jeszcze, o których będzie jeszcze mowa, bynajmniej nie kwitną, raczej wegetują na garnuszku UE. Fundusze unijne są często marnotrawione na bezsensowne, efekciarskie i niekontrolowane działania. Nieodpowiedzialność władz samorządowych, naciski administracji państwowej i dość chaotyczna polityka finansowa UE, wielokrotnie podważa sens istnienia „euroregionów”, które ja nazywam OWT. Ł. Lewkowicz widzi te niebezpieczeństwa, ale wspomina o nich raczej na marginesie. Mnie się jednak wydaje, że nieprawidłowościom funkcjonowania „euroregionów” należy się przyjrzeć uważniej. Poza nagłaśnianymi sukcesami widać wiele mniej chwalebnych dokonań. I to właśnie one, a nie te pierwsze, decydują o recepcji całego przedsięwzięcia. Wielka szkoda, że autor nie poszerzył swoich zainteresowań właśnie o kwestie recepcji „euroregionów” przez mieszkańców pogranicza, nie przez beneficjentów – ludzi władzy, urzędników, a przez „prostych” obywateli. Wcześniej, czy później studium takie winno powstać.

Czas wyjaśnić, dlaczego piszę „euroregiony”, dlaczego wolę nazwę Obszary Współpracy Transgranicznej? To raczej oczywiste w świetle dotychczasowych uwag, owe OWT nie są regionami w żadnym rozumieniu tego terminu, chyba że są to „regiony potencjalne”. Czyżby zatem, czego się wielu obawiało, mamy do czynienia z próbą realizacji poronionego pomysłu budowania nowych nadgranicznych regionów, swoistym rodzajem działań socjotechnicznych. Ł. Lewkowicz pisze słowa dość zaskakujące:

Sam termin „euroregion” nie ma charakteru oficjalnego. Nie występuje on w oficjalnych dokumentach UE ani w większości umów międzypaństwowych dotyczących współpracy transgranicznej. Jest to określenie potoczne, używane przede wszystkim w mediach, literaturze przedmiotu oraz w niektórych regionalnych lub lokalnych dokumentach formalizujących współpracę ponad graniczną. Termin ten pełni raczej funkcje psychologiczną niż prawną. Ma na celu podkreślenie pozytywnego stosunku UE do obszarów przygranicznych, szczególnie w państwach Europy Środkowej i Wschodniej (s. 29).

Dziwią mnie te słowa, jestem zdania, że należy wyeliminować pojęcie „euroregion” jako mylące i budzące podejrzenia. Używanie go w pracach naukowych i w dokumentach oficjalnych źle świadczy zarówno o badaczach, jak i urzędnikach.

OWT łączą odmienne kulturowo regiony, niektóre z nich kształtowały się przez wieki. Co więcej, na tych obszarach istnieje, przynajmniej po polskiej stronie, dobrze rozwinięty ruch regionalny, specyficzny

rodzaj ruchu społecznego, o ponad wiekowej tradycji (np. regionalizm podhalański), którego przynajmniej część działań jest zbieżna z działaniami „euroregionów”. Jaka jest, jaka ma być relacja OWT do działalności ruchów regionalnych na tych terenach, w jakim stopniu włączyły się one w budowanie OWT? Czy regionalne organizacje mają wpływ na ich kształt i funkcjonowanie, czy tylko od czasu do czasu są wspierane unijnymi datkami? Ta kwestia, problem relacji regionalizmu i „euro-regionalizmu” wydaje mi się ważny, szkoda, że nie został poruszony w pracy.

Jak pamiętamy, kiedy powstawały „euroregiony” (OWT), pewna część polityków obawiała się utraty suwerenności państw w ten proces zaangażowanych, z powodu przekazania pewnych kompetencji tworowi ponadpaństwowemu, jakim jest UE. Niebezpieczeństwo takie, moim zdaniem, nie istnieje. Nie dlatego, że UE zrezygnowała z prób budowania superpaństwa europejskiego, lecz dlatego, że nie ma na to żadnych szans. Sposobem na jego powstanie miała być budowa „euroregionów”, nowych nadgranicznych wielonarodowych regionów przejmujących kompetencje państw narodowych, które miały obumierać. Utopia runęła już na tym poziomie, nie powstały i nie powstaną takie regiony, OTW będą działały lepiej lub gorzej realizując sensowną współpracę między narodowymi społecznościami pogranicza. Może z czasem uda się ograniczyć marnotrawienie unijnych pieniędzy i funduszy własnych, może uda się odpolitycznieć samorządy, poddać je ściślejszej społecznej kontroli, zlikwidować niepotrzebne dublowanie samorządów przez administrację państwową. Dziś samorządy nie są równorzędnym partnerem UE, dziś Unia – „dobry wujek” wiedzący lepiej, co jest potrzebne zbiorowościom lokalnym, daje łaskawie fundusze na cele zaakceptowane przez często niekompetentnych urzędników, cele niekoniecznie zgodne z potrzebami tych zbiorowości. To się zmieni tylko wtedy, gdy powstanie społeczeństwo obywatelskie, ale czy „euroregiony” sprzyjają takiemu procesowi?

Do najciekawszych części pracy Ł. Lewkowicza należą te, w których rozważa on scenariusze rozwoju „euroregionów”, przyszłość tego eksperymentu. Autor rozpatruje trzy scenariusze: scenariusz dominacji, scenariusz kontynuacji i scenariusz dezintegracji. Jego zdaniem pierwszy i ostatni są najmniej prawdopodobne. Wizja „dominacji euroregionów”, owa – przynajmniej dla mnie – absolutna utopia – oznacza zmierzchnię państw narodowych i ukształtowanie się tożsamości euroregionalnej. Zdaniem autora, jej mała szansa realizacji wynika z konieczności dokonania nowych ustaleń prawnych, w praktyce zrzeczenia się przez państwa praw politycznych na rzecz „euroregionów” oraz ogromnych nakładów finansowych, przekraczających możliwości Unii. Pozostawmy tę fantazję na boku, przyjrzyjmy się scenariuszowi dezintegracji, który opiera się na założeniu,

iż proces integracji europejskiej zostanie zahamowany i pojawi się szereg czynników uniemożliwiających dalszą aktywność euroregionów. Pierwszy wariant rozwoju wydarzeń zakłada, że czynnikiem, który zahamuje procesy integracyjne w Europie, będzie osiągnięcie przez państwa europejskie tak wysokiego poziomu integracji, że wyeliminuje on konieczność dalszego istnienia euroregionów. Pierwszą istotną zmianą będzie transformacja tradycyjnego postrzegania granicy. Dzięki zaawansowanym procesom integracyjnym granice przestaną pełnić funkcję bariery i zaczną pełnić tylko rolę administracyjną. Jeden z podstawowych celów działalności regionów przestanie więc istnieć. Długoletnie doświadczenie w zakresie wdrażania funduszy unijnych pozwoli dotychczasowym beneficjentom programów transgranicznych na kontynuowanie współpracy już bez udziału euroregionów. Podobnie tworzące euroregiony samorządy terytorialne dojdą do wniosku, że dalsze współfinansowanie struktur euroregionalnych i dużo efektywniejsze będzie prowadzenie bezpośredniej współpracy bilateralnej. Rezultatem takiej filozofii działania będzie dobrowolne i naturalne rozwiązanie większości europejskich euroregionów” (s. 246).

Otóż, scenariusz ten – wbrew autorowi – uważam za wielce prawdopodobny, co więcej, za najkorzystniejszy dla OWT. Nie wierzę, co prawda, w osiągnięcie poziomu integracji, który miałby doprowadzić do naturalnego zaniku „euroregionów”, ani w ich rozwiązanie z powodu nierentowności (już są nierentowne, a właściwie od początku były!). Jeśli jednak rola UE miała polegać jedynie na aktywizacji pogranicza i na tym się skończyć, to może się tak stać, że pewien stopień aktywizacji i idącej za tym integracji na takich obszarach skłoni zainteresowanych do rezygnacji z unijnej opieki nawet za cenę rezygnacji z funduszy unijnych. Wybicie się na niezależność (kiedy miałyby to się stać, za 10, 20 lat, chyba nie wcześniej)), wymaga jednak wcześniejszego powstania autentycznych społeczeństw obywatelskich oraz realizacji innych warunków, np. rzeczywistego, odpowiedzialnego systemu samorządowego. O tych sprawach już wspomniałem.

Najbardziej prawdopodobny scenariusz zdaniem Ł. Lewkowicza, to scenariusz kontynuacji.

Scenariusz – pisze autor – nie zakłada uzyskania przez badane euroregiony niezależności politycznej ani też zaistnienia czynników, które uniemożliwiłyby ich dalszą działalność. Opiera się on bowiem na założeniu, iż polsko-słowackie regiony będą kontynuowały dotychczasową działalność w zakresie współpracy transgranicznej, a w celu pogłębienia integracji regionu dokonają także niezbędnych reform instytucjonalno-prawnych. Granica polsko-słowacka nie „zaniknie” całkowicie, ulegnie jednak procesowi głębokiej transformacji, która zwiększy jej przepuszczalność (s. 243).

Ten scenariusz będzie niezmiernie trudny do realizacji z powodu możliwego dziś do przewidzenia głębokiego kryzysu ideowego i finansowego UE i rezygnacji jej władz z ambitnych planów. Choćby częściowa z nich rezygnacja, już dziś działania takie daje się zauważyć, doprowadzi do scenariusza stagnacji, chyba najbardziej niekorzystnego. Oznaczałby on rezygnację z działań – zarówno dobrych jak i złych – na rzecz optymistycznej retoryki, czyli rodzaju zmasowanej propagandy sukcesu. Zdecydowanie wolę wariant stopniowej dezintegracji „euroregionów”, ale po wykonaniu przez nie choćby częściowo zadania aktywizacji pogranicza polsko-słowackiego. Na pytanie postawione na początku tych rozważań, pytanie czy „euroregiony” są potrzebne, odpowiadam: są potrzebne dziś i mam nadzieję, że po spełnieniu zadania – choć to wypełnianie zadania nie udaje się tak, jakbyśmy chcieli, nie będzie potrzebne jutro.

Jak widać, praca Ł. Lewkowicza wzbudziła we mnie szerokie refleksje i to uważam za jej duży atut. Posiada ona jeszcze inne walory, jest przejrzysta, dobrze napisana, a autor nie cofa się przed uwagami krytycznymi, co potwierdza moje przekonanie, że nie jest apologetą UE – jak to się niestety często piszącym o niej zdarza – że jest w stanie dostrzec gorsze strony funkcjonowania „euroregionów”.

W jednym przypadku zawiodła autora intuicja, zupełnie niepotrzebnie wdał się w spór dotyczący liczebności mniejszości polskiej na Słowacji i słowackiej w Polsce (s. 61–62). Temat to szeroki i na dodatek delikatny, ściśle związany z problemami kształtowania się świadomości narodowej na pograniczu, a także z kwestiami osadnictwa na tych terenach. Jeśli liczbę mniejszości ustala się według spisów powszechnych, to trzeba być w tym konsekwentnym. Nie można twierdzić, że „nieoficjalnie”, tj. wedle przekonania a nie spisu! Słowaków w Polsce jest 10–20 tys. i jednocześnie krytykować M. Skawińskiego, który „nieoficjalnie” (w oparciu o wieloletnie badania, ale niepotwierdzone przez spis!) uważa, że Polaków na Słowacji jest ok. 150 tys. To że do tych danych krytycznie odnosi się „wybitny znawca pogranicza polsko-słowackiego, Antoni Kroh”, nie jest żadnym argumentem, bo do opinii Antoniego Kroha krytycznie odnoszą się inni wybitni znawcy tego pogranicza, np. Marek Skawiński.

Józef S. Waluś

O PODWÓJNYM UMIŁOWANIU SZCZAWNICY

Tadeusz Z. Bednarski
Spotkania w dawnej i niedawnej Szczawnicy,
 Kraków, Astraia, 2012, 223 s.

Krakowski publicysta-dokumentalista i pisarz – Tadeusz Z. Bednarski (ur. 1934) od dzieciństwa jeździł do Szczawnicy i w dziejach rodu stał się w czwartym pokoleniu jej uroków szczególnie admiratorem, jak i jego szlachetni antenaci. O zafascynowaniu górską tematyką pisaliśmy już w tym piśmie, recenzując w 14 roczniku z 2012 roku broszurkę bibliograficzną autorstwa jego żony Zofii Bednarskiej *Tadeusza Z. Bednarskiego publicystyczna twórczość górą poświęcona*. Z wymienionych tam 357 publikacji dotyczących ogólnie publicystyki górskiej (a zgubiono tam ok. 20 pozycji) – „około czterdziestu dotyczy Szczawnicy i Pienin w szerokim zakresie. Napisane one były w oparciu o literaturę wspomnieniową, starą prasę, epistolografię” – to cytat z przedmowy, którą Zofia Bednarska napisała do dzieła – *Spotkania w dawnej i niedawnej Szczawnicy*, wydanej przez krakowskie wydawnictwo Astraia w 2012 roku. Obecny zbiór felietonów o pobytach w Szczawnicy wybitnych przedstawicieli polskiej kultury XIX i XX wieku jest zestawiony z dwu broszur, wydanych przez Oficynę Podhalańską, drukiem Secesji: w 1994 roku *Spotkania w dawnej Szczawnicy* i w 1995 roku – *Niedawne i najnowsze spotkania w Szczawnicy*. Zestaw pierwszy obejmował oczarowania Szczawnicą przez postaci, jakie ją odwiedziły na przestrzeni lat 1832–1905. A było to dwunastu mistrzów pióra, pędzla i sceny, jak Jadwiga Łuszczewska – Deotyma, Maria Konopnicka, Lucyna Ćwierczakiewiczowa, Gabriela Zapolska – z pań i Franciszek Ksawery Prek, Jan Matejko, Józef Ignacy Kraszewski, Henryk Sienkiewicz, Henryk Siemiradzki, Stanisław Koźmian, Bolesław Prus i Stefan Jaracz. W drugim zestawie, obejmującym okres od I wojny światowej po lata 90. XX wieku, zaprezentowano 17 postaci: Adę Sari, Eleonorę Bocheńską, Sławę Przybylską, Antoniego Kozakiewicza, Konstantego Kietlicza-Rayskiego, Jana Wiktora, Emila Zegadłowicza, Juliusza Kleimera, Stanisława Ignacego Witkiewicza, Karola Frycza, Rafała Malczewskiego, Stanisława Skiminę, Witolda Chomicza, Jana Adamskiego, Józefa Dużyka, Leszka Długosza, Piotra Skrzyneckiego. Jak przypomina w przedmowie Zofia Bednarska – „Te siedemnaście felietonów powstało nie tylko na podstawie literatury i starej prasy, ale także w oparciu o osobiste kontakty męża z ich bohaterami na szczawnickim deptaku czy w naszym gościnnym domu w Krakowie”.

Niestety, kilku bohaterów z tych siedemnastu postaci, które żyły w momencie wydania *Niedawnych i najnowszych spotkań w Szczawnicy* w 1995 roku, odeszło przed 2012 rokiem. Zabrakło wykładowczyni gestu

w krakowskiej Wyższej Szkole Teatralnej – prof. E. Bocheńskiej, mistrza sceny – J. Adamskiego, pisarza-dokumentalisty, bibliotekarza – dra J. Dużyka, wyjechała ze Szczawnicy animatorka artystycznego tam ruchu – piosenkarka S. Przybylska, zmienił swe preferencje uzdrowiskowe piosenkarz i twórca tekstów – L. Długosz. To wszystko trzeba było uaktualnić. Równocześnie zauroczony Szczawnicą Bednarski – a Szczawnica umiała to docenić, wręczając autorowi w styczniu 2003 roku dyplom Honorowego Obywatela miasta – pracował nadal nad tematem wybitnych twórców, co Szczawnicę raczyli odwiedzić i liczbę dwudziestu dziewięciu głównych bohaterów powiększył do czterdziestu. I tak do części pierwszej (do 1914 roku) dołożył podpienińskie wrażenia Aleksandra Fredry, Wincentego Pola, Michała Bałuckiego, Karola Estreichera seniora, Kazimierza Bartoszewicza, Henryka Jasieńskiego, Leopolda Staffa, Juliusza, Wojciecha i Jerzego Kossaków. Prasoznawczy zmysł autora pozwolił mu do gastronomicznych dywagacji Cwierzakiewiczowej wprowadzić inserat z „Gazety Krakowskiej” z maja 1844 roku ze 118 numeru, gdzie „traktyerniczka ze Lwowa”, Magdalena List, uwiadamiła, iż kolejny raz podejmie się prowadzić w podpienińskim uzdrowisku „należycie urządzoną kuchnię i cukiernię”. Część drugą uzupełniono o filozofa Stefana Swieżawskiego, seniora krakowskich malarzy, Stanisława Jakubczyka i muzykologa, Jerzego Waldorffa.

Podziw nad pięknem Pienin potwierdzają teksty różnych autorów: od Asnyka po Konopnicką, Tetmajera i Zegadłowicza w poezji, a z epiki przez potoczystość relacji Bałuckiego, Bartoszewicza, Kraszewskiego, Koźmiana, Prusa czy Sienkiewicza.

Nie licząc katalogów malarskich, książka zawiera zestaw literatury przedmiotu od Alhy po Żmudzińskiego, przekraczający 60 pozycji. Dzieło cieszy się bardzo bogatą sztą graficzną. Autorom i Wydawcy najserdeczniej gratulujemy! I trzeba stwierdzić, że znakomici goście – zwłaszcza mistrzowie pióra – umieli podziwiać Szczawnicę, a wyboru tekstów dokonywał zauroczony uzdrowiskiem poeta. A więc podwójne zauroczenie!

Ewa Skrobiszewska

BUKOWINA TATRZAŃSKA – WIEŚ GÓRALSKA

Bukowina Tatrzańska. Przewodnik TPBT po miejscowości i okolicach,
tekst i red. Stanisława Galica-Górkiewicz, Bukowina Tatrzańska,
Towarzystwo Przyjaciół Bukowiny Tatrzańskiej, Zakrzów,
Wydawnictwo Promo, 2012, 181 s.

Wędrówkę po Bukowinie Tatrzańskiej czytelnik rozpoczyna od opisu prezentującego szczególne położenie geograficzne tej jednej z najwyższej usytuowanych wsi w Polsce. Roztaczają się przed nim wspaniałe widoki

na całą panoramę Tatr. Bukowina Tatrzańska leży na stokach Pogórza Spisko-Gubałowskiego, w części zwanej Pogórzem Gliczarowskim lub Bukowińskim. Zaś tereny bliżej Tatr nazywane są Skalnym Podhalem. Nazwy wierzchów bukowińskich, na których rozłożona jest wieś, pochodzą od nazwisk najstarszych mieszkańców. Klimat jest ostry i ma charakter typowo górski.

Przez wieki była to ziemia niczyja. W średniowieczu, w górach chronili się zbiedzy, buntownicy, zbójnicy. Zbiegłymi buntownikami byli często chłopci, którzy uciekali w Tatry przed uciskiem i prześladowaniami. Wieś powstała na przełomie XVI i XVII wieku. Przybywający tu osadnicy zajmowali tereny położone niżej, gdzie ziemia nadawała się bardziej do uprawy.

Od pierwszego rozbioru Polski w 1772 roku Bukowina weszła w skład Cesarstwa Austro-Węgierskiego, Tatry zaś stały się wewnętrzną granicą Cesarstwa pomiędzy Galicją i Królestwem Węgier. Autorka opisuje kolejne fakty dotyczące sporu polsko-węgierskiego o granicę w Tatrach i walkę o Morskie Oko, którą podjął właściciel dóbr zakopiańskich – hrabia Władysław Zamoyski i bukowińscy górale. W 1897 roku sprawa trafiła przed arbitraż międzynarodowy, a dopiero w roku 1902 spór o granicę zakończył się wyrokiem sądu rozjemczego w Grazu przyznający stronie polskiej sporny teren.

Następnie Stanisława Galica-Górkiewicz przedstawia dzieje budowy w centrum Bukowiny kaplicy i kościoła oraz prezentuje postaci księży, którzy sprawowali w nim posługę kapłańską. Jednym z nich był ks. Błażej Łaciak – wielbiciel Tatr, który w 1902 roku przyjechał do Bukowiny. Zapisał w pamiętniku: „Wśród parafian moich znajdują się gospodarze o nazwiskach: Głód, Nędza, Bieda, Głodziak. Coś niepokojącego, zmuszającego do zastanowienia, jak to tam będzie z dobrami doczesnymi. W rzeczy samej nie było bogato”.

Nadto Autorka opisuje rozwój ruchu turystycznego oraz powstanie i działalność Towarzystwa Przyjaciół Bukowiny Tatrzańskiej.

Stanisława Galica-Górkiewicz proponuje czytelnikowi, turyście, miłośnikowi bukowińskich opowieści – spacer z historią w tle. Opowiada o takich miejscach jak Klin, ulica Wierch Olszański, Wierch Kramarski, ulica Tadeusza Kościuszki, ulica Długa, Wierch Buńdowy, Olczański, Bieńkowski, Wierch Kurucowy, Rusiński, Głodowski, Wysoki i ulica Leśna, ulica Tatrzańska, Wierch Spiski, Przeddomiański, ulica Sportowa i Słoneczna. Opisując te miejsca przywołuje historie chałup góralskich, szałasów, domów, pensjonatów i ich mieszkańców oraz gości – malarzy, poetów, przyrodników, pierwszych turystów i przewodników tatrzańskich. Wspomina wydarzenia radosne i smutne – wesela, wypadki, zbrodnie, pogrzeby. Opisuje historię bukowińskiego szkoły, sklepików, karczm, kościoła, Domu Ludowego, cmentarza, starego młyna.

W rozdziale trzecim Autorka prezentuje zabytki Bukowiny – historyczne i ważne dla mieszkańców, artystów, turystów i miłośników folkloru góralskiego

– Bukowiańskie Centrum Kultury „Dom Ludowy” oraz drewniany kościółek parafialny NSJ, który był budowany w latach 1887–1900 przez miejscowego górala Jędrzeja Kramarza. Wspierał go białczański proboszcz ks. Franciszek Chwistek oraz hrabia Władysław Zamoyski. Kościółek służył mieszkańcom Bukowiny aż do wybudowania nowej świątyni w 1982 roku. W 1994 roku został wpisany do rejestru zabytków, a w roku 1995 po pożarze spowodowanym uderzeniem pioruna, został odnowiony i poddany całkowitej konserwacji. Obecnie świątynia spełnia też rolę galerii sztuki ludowej.

W rozdziale czwartym poznajemy ciekawe miejsca – polany, urwiste wzniesienia, lasy, stoki – Galicową Grapę, Las Harenda, Karpęciny, Niebieską Dolinę, Głodówkę, Bór, Księżycową Dolinę, Drogę Umarłych, Kiklową Grapę, Na Ubocy, Na Browarku oraz wkomponowane w te krajobrazy domy, schroniska, szałas i obiekty małej architektury – kaplicę Królowej Tatr na Wiktorówkach, obelisk Ojca Świętego Jana Pawła II, krzyż na Odewsiu, krzyż na Orawcowym Wierchu na Galicowej Grapie, Janiołową kapliczkę. Każde z tych miejsc ma swoją historię związaną z góralskim życiem, legendami, wierzeniami, pięknem i tajemnicami górskiej przyrody.

Miłośnicy wędrówek poznają szczegółowo opisane trasy wycieczek pieszych i rowerowych czytając rozdział piąty. Przy prezentacji każdej trasy, podana jest jej odległość w kilometrach od miejsca wyjścia lub wyjazdu rowerem i przybliżony czas trwania całej wycieczki. Są to bardzo ważne informacje dla turystów, którzy mogą dokładnie zaplanować wycieczkę i wybrać taką trasę, która będzie dostosowana do ich możliwości kondycyjnych oraz zainteresowań.

Rozdział szósty i siódmy jest propozycją spacerów dla osób szczególnie kochających samą Bukowinę i sztukę podhalańską. Można zwiedzić galerię sztuki ludowej, w tym tę prowadzoną przez TPBT oraz wędrować oznakowanym Szlakiem Dziedzictwa Kulturowego Podtatrze odwiedzając artystów bukowiańskich: Władysława Koszarka – rzeźbiarza, Antoniego Sztokfiszka – snycerza i rzeźbiarza, Adama Wojtanka – metaloplastyka, Agnieszkę Górkiewicz – malarzkę obrazów na szkle, Stanisława Kuruca wykonującego wyroby ze skóry, Józefa Wojtasa, który szyje stroje tradycyjne oraz haftuje. Można uczestniczyć w imprezach kulturalnych i warsztatach artystycznych oraz brać udział w rajdach konnych i kuligach, korzystać z term i spa, odpoczywać i nocować w pensjonatach i hotelach budowanych w stylu góralskim, kosztować tradycyjnych potraw w karczmach oraz zagłębić się w lekturze książek o Bukowinie odwiedzając Gminną Bibliotekę Publiczną, którą w 1926 roku założyła nauczycielka Michalina Cwiżewiczowa. Obecnie biblioteka usytuowana jest w BCK „Dom Ludowy”.

Gmina Bukowina Tatrańska rozciąga się na dwóch różnych kulturowo terenach – Podhalu i Spiszu. W rozdziale ósmym – Stanisława Galica-Górkiewicz opisuje wioski położone w okolicach Bukowiny Tatrańskiej: Białkę Tatrańską, Brzegi, Czarną Górę, Groń-Leśnicę, Jurgów, Małe Ciche, Murzasichle Rzepiska,

Trybsz, w tym ich położenie geograficzne, krajobrazy przyrodnicze, historię, legendy, obiekty zabytkowe, religijne, kulturalne, turystyczne oraz szlaki wędrówek.

W wioskach spiskich znajdują się charakterystyczne zabytki architektury drewnianej. W Czarnej Górze zwiedzić można bogate gospodarstwo spiskie okresu międzywojennego należące do rodziny Korkoszów, których potomkowie mieszkają obecnie na Słowacji. W Jurgowie, w centrum wsi stoi zabytkowy drewniany kościółek pw. św. Sebastiana i Matki Bożej Różańcowej, wybudowany w 1650 roku przez miejscowych cieśli. Również w centrum wsi, przy rozwidleniu dróg stoi zagroda, którą wybudował Jakub Sołtys w 1861 roku. „Zagroda Sołtysów” jest przykładem ubożego gospodarstwa spiskiego z przełomu XIX i XX wieku. Oba zabytki – „Zagroda Korkoszów” i „Zagroda Sołtysów” – są oddziałami Muzeum Tatrzańskiego im. dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem. W Jurgowie warto też zobaczyć na polanie „Podokólne” drewniane szałas pasterskie.

Rozdział dziewiąty zawiera szczegółowe informacje dla turystów: miejsca noclegowe, karczmy i restauracje, sklepy, urzędnia i miejsca rekreacyjne (w tym spa) oraz opieki medycznej, zakłady kosmetyczne, wypożyczalnie sprzętu sportowego, transport – busy, serwisy samochodowe oraz inne ważne adresy. Oprócz adresów informacje uzupełniają dodatkowe dane – adresy stron internetowych oraz numery telefonów.

Przewodnik zamyka bibliografia oraz mapa Bukowiny Tatrzańskiej sporządzona przez Tomasza Dziedzica. Publikacja ilustrowana jest archiwalnymi fotografiami ze zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Bukowiny Tatrzańskiej oraz współczesnymi – Agnieszki Górkiewicz prezentującymi krajobrazy Bukowiny, środowisko przyrodnicze, obiekty dziedzictwa kulturowego. W moim przekonaniu warto sięgnąć po tę książkę.

Katarzyna Grzesiak

PODRÓŻ SENTYMENTALNO-KRAJOZNAWCZA, CZYLI SŁODKA KRAINA DZIECIŃSTWA. RECENZJA FILMOWA

Szlakiem mało znanych osobliwości przyrodniczych i kulturowych wokół Tatr, film Anny Majorczyk i Józefa Słowika, w reżyserii Jana Makowskiego, Nowy Targ, Burmistrz Miasta, 2014, 4 CD-ROM

Zaczyna się od nostalgii. Nawet nie film, tylko moje pierwsze wrażenie po jego obejrzeniu. Bo dzieło, skądinąd ciekawe i chwilami dostarczające emocji choćby natury estetycznej, nieoczekiwanie zafundowało mi podróż sentymentalną – do Zubrzyicy Górnej i Jabłonki, słodkich i tajemniczych

krain dzieciństwa. Jeszcze w szkole podstawowej spędzałam tu kilkakrotnie wakacje i chyba czułam się szczęśliwa i wolna. No i byłam odkrywczą nowych łądów. I jeszcze zamajaczyło mi starsze, mniej uchwytnie wspomnienie z jakiejś wycieczki, podczas której zwiedzaliśmy skansen. W każdym razie zawołały mnie miejsca, gdzie dobrze byłoby wrócić.

Ale w końcu nie o moje sentymenty tu chodzi, a o próbę rzetelnej oceny filmu. Kluczem doboru miejsc, zjawisk i zdarzeń, które dzięki niemu poznajemy, jest zdanie padające na wstępie – „mało znane osobliwości po obu stronach Tatr”. Spodobało mi się, że film podkreśla jedność kulturową i przyrodniczą regionu ponad podziałami państwowymi, ostatnio zresztą zjawisko dość modne, a w tym ujęciu naturalne i prawdziwe. Prawdziwą przyjemność powinny też sprawić widzowi staranne zdjęcia i długie ujęcia przede wszystkim widoków górskich i okolicznej przyrody, autorstwa Jana Makowskiego.

Partie filmu poświęcone historii, odpowiednio uzupełniono reprodukcjami starych rysunków, sztychów, gwaszy i obrazów, a także archiwalnymi nagraniami i dokumentami dotyczącymi prezentowanego terenu. Film pokazuje więc nie tylko teraźniejszość tatrzańskich okolic, ale jest ciekawą opowieścią o ich historii, niekiedy ubarwioną miejscowymi legendami, z czego niejako mimochodem wynika uzasadnienie traktowania tej krainy jako całości, mimo dzielącej ją granicy polsko-słowackiej. Twórcy filmu nie zapomnieli też o swoich słowackich widzach, publikując swoje dzieło także w słowackiej wersji językowej.

Z kolei tekst lektora przerywany jest, w rozsądnych dawkach, sfilmowanymi wypowiedziami pracujących tu przewodników turystycznych, leśniczych, naukowców i proboszczów zwiedzanych z kamerą miejscowych kościołów. Każdy z tych zabiegów nie tylko wnosi dodatkowe informacje, ale skutecznie broni przed monotonią, podobnie jak dobitny i dykcyjnie bez zarzutu głos lektora, Jakuba Kosiniaka. Jedynie, co przeszkadza mi w warstwie dźwiękowej, to nieco drażniąca „muzyka relaksacyjna” w tle, ale to oczywiście już kwestia moich prywatnych upodobań.

Kiedy filmowa opowieść skupia się na obiektach natury, jednocześnie otrzymujemy łatwo przyswajalne tłumaczenie przebiegu i znaczenia zjawisk przyrodniczych. Natomiast w prezentacji zabytkowych dzieł rąk człowieka wzdusza dbałość o wydobycie i podkreślenie odniesień lokalnych w sztuce, przede wszystkim sakralnej. Pojawiają się więc tatrzańskie i pienińskie krajobrazy w tle scen religijnych na obrazach czy freskach w prześlicznych kościółkach św. Anny w Nowym Targu czy św. Elżbiety Węgierskiej w Trybszu. Z perspektywy czasu poruszająca jest ta lokalna pieczęć nadana przez dawnych twórców i ich zleceniodawców uniwersalnym przedstawieniom biblijnych historii.

Mimo zdecydowanie pozytywnego odbioru filmowego dzieła, nie mogę przemilczeć pomyłek i usterek, których nie ustrzegli się jego twórcy,

choć obecność tych „wpadek” i ich wychwycenie przypomina grę na spostrzegawczość dla oka i ucha uważnego odbiorcy. W napisach końcowych poszczególnych części filmu kilkakrotnie pojawia się oryginalne słówko „podziękowania”, brak też zdecydowania co do wyboru formy „Bór na Czerwonym” czy na „Czerwonem”. Tu zdezorientowany wydaje się zresztą także lektor, tak przecież na ogół staranny. Ja opowiadam się tu przy drugiej wersji, „na Czerwonem”. Zdumiał mnie też fenomen strzechy wykonanej z gontów, choć wiadomo przecież, że strzecha to dach ze słomy bądź trzciny. Dziwna to pomyłka, skoro inne, nawet bardziej specjalistyczne terminy zdają się być używane w filmie zgodnie z ich znaczeniem. Niestety, okulała też fleksja, może autorom tekstu, a może lektorowi. W każdym razie, w historii miejscowości Orawka, nieprzyjemnie zabrzmiało mi w uszach zdanie oznajmiające, że „księdzu Janu Szczechowiczowi udaje się kupić”. Zdecydowanie wykluczona jest taka forma celownika imienia Jan.

Na koniec zostawiłam sobie usterki przede wszystkim zabawne. Pierwsza, w sekwencji filmu w skansenie w Zubrzyicy Górnej, pokazuje nam scenę kolędowania, podczas której zza kadru słyszymy inną kolędę, niż wskazuje na to ruch warg śpiewających. Ale najzabawniejszy i w jakimś sensie urocze są fragmenty opowieści o kasztelu w Liptowie, poświęcone ekspozycji trofeów myśliwskich - o „okazalej niedźwiedziej skórze”, gdy w tym czasie kamera na dość długo zatrzymuje się na wiszącej na ścianie skórze... z kopytkami i rogami, całkiem, jak u pocziwej, choć rzeczywiście brunatnej krowy. Może był to żubr, zaś szczątków żadnego niedźwiedzia jednak film nam, na szczęście, nie prezentuje.

Filmowe dzieło Jana Makowskiego, Anny Majorczyk i Józefa Słowika zdecydowanie poszerza wiadomości widza, sytuuje miejsca i ludzi w czasie i przestrzeni i, kogo może, wzywa do podróży. Ja w każdym razie zyskałam na prywatnej mapie nowe punkty, które chcę i muszę odwiedzić, stare, które sobie przypominałam i inne, na nowo odkrywane w ostatnich latach, jak Nowy Targ, które mają dla mnie wciąż mnóstwo tajemnic do rozwikłania. Na długo zostaną mi w oczach te filmowe krajobrazy, zieleń przetykana skałami i wodami, chaty, dwory i kościoły. Mimo krytycznego, a może czasem złośliwego oka, jestem gotowa do drogi. Czego i innym widzom życzę, a właściwie jestem pewna, że *Szlakiem mało znanych osobliwości...* wywoła w nich podobną niecierpliwość podróżowania.